

Byłem w Polsce – 18

12 sierpnia 2018

I gdy jadąc nuciłem sobie pod nosem te stare szlagiery, moja Krysia przypomniała mi o trochę późniejszym zdarzeniu, które wydarzyło się dokładnie na drodze, którą teraz jechaliśmy, a które jeszcze dziś wywołuje u mnie czasem dreszcz, ale częściej poczucie winy.



Otóż w 1978 roku jechaliśmy właśnie wtedy, z tym tylko, że w drugą stronę, a Krysia była w super zaawansowanej ciąży.

Droga była półpiekłem, bo roiła się od dziur i wertepów. Żadnego asfaltu! Na długich odcinkach nie było jednego metra płaskiej nawierzchni. Mieliśmy wówczas małego fiacika, który podskakiwał na tych diabelskich wybojach, jęczał w spojeniach i płakał ludzkim głosem.

Wybierając tę drogę nie wiedziałem, że będzie aż tak źle. Najpierw było jeszcze-jeszcze, ale potem zaczął się horror i im dalej tym droga stawała się gorsza.

Wracać, nie wracać, jak jechać – byłem niezdecydowany i niepewny. Postanowiliśmy jechać dalej, ale warunki były tak okropne, że w którymś momencie oboje zaczęliśmy się bać. Ostatecznie to był przedostatni etap ciąży!

Paraliżujący strach ogarnął mnie jak nagły przypływ gorączki!

Co będzie jeśli to, a co jeśli tamto i w ogóle – Matko Przenajświętsza – co ja wyprawiam, na co narażam Żonę i nienarodzone dziecko! Co za głupota kazała mi jechać tą trasą – zresztą co to w ogóle za “trasa” – toż to zdeklarowana dziadownia!

Panika nie jest dobrym doradcą, ale Krysia wyciszyła mnie trochę mówiąc:

-Wysiądę i pójdę spacerkiem wzdłuż drogi... tak będzie bezpieczniej!

I rzeczywiście wysiadła i szła energicznym krokiem po trawie, a ja tuż obok tłukłem się po “drodze” jadąc jak żółw. Cały czas bałem się, że lada moment urwie mi się silnik.

Szliśmy-jechali równo, głowa w głowę, noga w nogę, bo nasze tempa były takie same.

Potem, przez następne czterdzieści lat też szliśmy głowa w głowę i nasze tempa w większości przypadków były takie same lub podobne, ale wtedy – w 1978 – byliśmy na początku wspólnej drogi i wszystko było świeże i nowe.

W dwa i pół miesiąca po tej katorżniczej drodze urodził się nasz pierworodny, który na całe szczęście nie odziedziczył ojcowskiej głupoty, która wtedy na łańcuckiej drodze mogła się dla nas trojga źle skończyć.

Z perspektywy lat widzi się rzeczy bez emocji, napięć i nerwów, ale z drugiej strony zachodzę w głowę jak można było być tak nierozsądnym i nawet teraz o niektórych moich decyzjach i “przygodach” nie mogę myśleć spokojnie.

Jeszcze raz muszę zrobić małą dygresję, ale obiecuję, że nie zgubię wątku i dojedziemy do łańcuta!

Rzecz w tym, że zapomniałem powiedzieć o czymś ogromnie

ważnym, co w dużej mierze regulowało tamtym rytmem pracy, odpoczynku i życia w ogóle. Mówię o kościele. Jasne, że ten wpływ – szczególnie w moich stronach – pozostał i trwa, bo tamte regiony /jak każde "Południe"/ są wyjątkowo zachowawcze – ale z całą pewnością nie jest już taki jak przed kilkudziesięciu czy więcej laty.

Chcę o tym powiedzieć, bo religia przenikała i przenika prawie wszystkie polskie wspomnienia. Szczególnie te moje "podkarpackie", gdzie liturgiczny rok wyjątkowo silnie opłatał codzienne życie.

Kościelne dzwony przypominały o prymarii wczesnym rankiem, o Aniele Pańskim w południe, o czasie na odpoczynek wieczorem... Życie kołysało się od świąt do świąt! Od wigilijnego opłatka poprzez zapusty, Gromniczną, sypanie głów popiołem, post, Wielkanoc, a potem ustrajanie stacji procesji Bożego Ciała i dalej przez cały korowód świąt maryjnych aż do Wszystkich Świętych, palenia świeczek na grobach, świętego Huberta, Marcina, Andrzeja, Mikołaja i w końcu po adwent żeby znowu wrócić do wigilijnego stołu, choinki, kolęd i pasterki.

Msze święte, procesje, nieszpory, gorzkie żale, drogi krzyżowe, adoracje i tyle innych wspaniałych chwil, dla bardzo wielu były wspaniałym oderwaniem się od kołowrotu codzienności, okazją do wyprostowania zgiętego grzbietu, ubrania czystej koszuli i przyczesania skołtunionej czupryny.

Gdybym się nawet bardzo starał, to nie potrafiłbym opisać tego jak bardzo byliśmy – i w wielu przypadkach – ciągle jeszcze jesteśmy nasiąknięci religijną tradycją. Powinienem może powiedzieć polską tradycją!

Kobiety śpiewały przy domowych pracach godzinki, ludzie powszechnie żegnali się przed posiłkami, zjedzenie mięsa w piątek było nie do pomyślenia, a przed wielkanocną spowiedzią przepraszano się i godzono.

Modlono się o deszcz, o pogodę, o możliwość zwiezienia użątka

z pól i w ogóle o wszystko.

Każdy wierzył tak jak umiał i jak czuł – często gęsto niekoniecznie tak jak mu kazano czy od niego wymagano, bo każdy swoją więź z Bogiem rozumiał trochę inaczej.

Ten temat jest niewyczerpany, ale dotykam go w kontekście moich wspomnień i doświadczeń, które zachowałem w pamięci.

Dlatego też opowiem tu w paru słowach historię, która przez pewien czas zelektryzowała opinię mojego miasteczka, a która dobrze ilustruje tamte dawne, powojenne stosunki, a w szczególności wzajemne relacje pomiędzy tak zwanymi “pasterzami i trzódką”.

Otóż, gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, ksiądz proboszcz zamówił dla naszego kościoła nowe dzwony. Nazwano je Maria, Wawrzyniec i Antoni. Na ich zewnętrznych ścianach, czy jak to się fachowo mówi na płaszcach, odlane były ich imiona oraz – co najważniejsze – imiona i nazwiska darczyńców, ofiarodawców i dobrodziei naszej parafii. Dzwony miały bogate ornamenty, lśniły nowością. Zaraz po ich przywiezieniu zawieszono je tymczasowo w obrębie murów kościelnych na ogromnej belce zawieszanej pomiędzy dwoma lipami. Dzwony miały czekać na poświęcenie, a potem na wciągnięcie na wieżę.

Następnego ranka po ich przywiezieniu i zawieszeniu koło kościoła zgroza ogarnęła wszystkich przybyłych na uroczystość poświęcenia!

Nazwiska dobroczyńców i darczyńców odlane na dzwonach zostały brutalnie skute i odrąbane. Potwornie pokiereszowane powierzchnie dzwonów mogły być nieodwracalnym zniszczeniem. Mogły uszkodzić dźwięk dzwonów i odjąć im głos na zawsze. Wiadomą jest przecież rzeczą, że czasami nawet mała rysa na dzwonie może go okaleczyć do tego stopnia, że stanie się nic niewartym złomem.

Ludzka zawiść? Stare porachunki? Złość?

A że to się działo u nas, na Podkarpaciu to znowu nikt nic nie powiedział. I nawet żadnego śledztwo nie podejmowano, bo wiadomo, że w tej społeczności cały czas panowała stara zasada, że "ten kto nie był ten nie wie, a kto był ten nie powie".

Ksiądz proboszcz popatrzył, pokiwał głową i nic nie powiedział. To był mądry człowiek, który w naszej parafii przepracował pięćdziesiąt lat i znał ludzi i ich serca, ale tego ranka nauczył się czegoś jeszcze i zrozumiał, że chcąc podkreślić zasługi wybranych popełnił niewybaczalny błąd.

Zmówił więc cichą modlitwę, a potem kazał wezwać ludwisarza i ponaprawiać co mogło być do naprawienia.

I dzięki Bogu naprawione dzwony zadzwoniły czystym głosem i myślę, że dzwonią do dzisiaj.

A życie miasteczka wróciło do zwykłego rytmu, w którym wiara, miłość i przebaczenie jakoś dziwnie współgrały z dawnymi urazami, zawiścią i złością.

Drogę przez Łańcut wybraliśmy żeby ominąć Rzeszów i jechać raczej na Sokołów, a potem w kierunku Sandomierza. Zresztą nie tylko to. Chciałem tu przyjechać, bo pomijając wspaniały zamek Potockich, ogromny park i unikalną wozownię – w Łańcucie mieszkała kiedyś przyrodnia siostra mojego dziadzia – słynna ciocia Ela!

Odsunięcie zamku i wozowni na drugi plan nie jest przypadkowe. Dla mnie ciocia Ela była ważniejsza! A może nawet dużo ważniejsza! Zaraz to wyjaśnię.

Z drugiej jednak strony chciałem mojej Krysi pokazać wspaniałe muzeum zamkowe. Byłem tam parę razy. W różnych okresach mojego życia. Do Łańcuta jeździłem z mamą, potem parę razy sam, także z wycieczką ze szkoły podstawowej, z liceum i jeszcze przy paru innych okazjach.

Kompleks zamkowo-parkowy jest faktycznie imponujący, ale osobiście nie lubię muzeów.

W zamku łańcuckim cały czas panuje stary obowiązek zakładania kapci. Te kapcie leżą całymi stosami w przebieralni i każdy kto przychodzi – a mówię tu o setkach zwiedzających – musi znaleźć choć trochę pasujące dla siebie kapcie i dopiero po ich założeniu może wejść „na pokoje”. Szukanie kapci w stosach innych, przepychanie się przez ludzi, a potem zakładanie i paradowanie w nich wydaje mi się jakieś upokarzające. Kapcie są zresztą bardzo nieświeże i widać, że przeszły przez tysiące różnych stóp. Rzadko kiedy udaje się znaleźć parę kapci tego samego numeru i trzeba chodzić w jednym małym, a drugim dużo większym, a to potęguje tylko poczucie niedostosowania do pałacowych wnętrz. Mniejsza z tym, bo rzecz nie jest aż tak ważna.

W każdym razie poszliśmy zwiedzać i szczerze powiem nie rozczarowaliśmy się, jakkolwiek moje wrażenia ze szkolnych wycieczek były bez porównania silniejsze.

Chodziliśmy po parku, zwiedzali powozownię, storczykarnię i oranżerię i „dobrze się nam działo”, ale w głowie cały czas siedziała mi myśl żeby podjechać pod dom cioci Eli. Oczywiście o ile jeszcze istniał.

Z tą ciocią bowiem wiązał się bardzo ważny epizod mojego życia, a mianowicie z moimi kotami.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [Kasman](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)